

Półtorej godziny później:

- A gdyby tak – zagaił Awieriusza, nie wiedzieć czemu gapiąc się akurat na mnie – gdyby w tej chwili stanął między nami Lenin?

- Boże uchoвай! – wyrwało się Johnowi. – Śmierć cholernie człowieka zmienia. Było nie było, to już prawie czterdzieści lat.

- A widzisz! – huknął triumfalnie Awieriusza Aristow. – Czterdzieści lat, a on jakby od śniadania wstał!

- Za naukę radziecką! – wznosił toast Draczenko.

Wypiliśmy.

Siedzieliśmy w siedmiu przy dużym stole w opustoszałej już sali recepcyjnej Domu Partii: Bruce – oficjalnie w charakterze przedstawiciela biura prasowego ambasady amerykańskiej, ambasador Awierkij Aristow z Wiaczesławem Draczenką, sekretarzem do spraw prasowych, ambasador John Cabot, towarzysz Wiesław, premier. Wreszcie ja – w roli zaufanego korespondenta z Ameryki. Między nami krążyła gościnna „Stolicznaja” - prezent od ambasadora Aristowa. W kieszeni Towy spoczywała koperta z depeszą, jaką Aristow uroczyście przekazał w imieniu pryncypała, a której zatwierdzone tłumaczenie, właśnie spływające z maszyn drukarskich w całym kraju, w jutrzejszych gazetach miało przyjąć taką oto postać:

N. Chruszczow
dziękuje za życzenia
urodzinowe
 Do
I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
 tow.
WŁADYSŁAWA GOMUŁKI
 Do
Prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
 tow.
JÓZEFA CYRANKIEWICZĄ
 Drodzy towarzysze!
 Proszę przyjąć moje serdeczne podziękowanie za najlepsze życzenia i gratulacje z okazji rocznicy moich urodzin.
 Korzystam z okazji, by życzyć Wam dobrego zdrowia oraz sukcesów w Waszej owocnej działalności dla dobra bratniego narodu polskiego i na rzecz umocnienia pokoju na świecie.

N. CHRUSZCZOW
 Moskwa-Kremł, 19 kwietnia 1963 r.

- Towarzysze ... - podjął Awierusza Aristow, lecz po tym wstępie urwał na nazbyt długo.

- Nowa jakość – odpowiedział mu po polsku Draczenko.

- Właśnie – podjął Aristow – gdyby w tej chwili stanął między nami Lenin, to – wierzcie mi, towarzysze – powiedziałby tak: towarzyszu Aristow, towarzyszu Cabot, wspólnym trudem budujmy nową jakość.

- O czym ta gadka? – spytał mnie szeptem Bruce.

- Wspominają wspólnych znajomych – uspokoiłem go. Z racji oficjalnej funkcji silił się na udawanie, że zna polski.

- Nowa? – powtórzył ambasador Cabot, daremnie próbując zajrzeć w małe oczy Aristowa, które ślizgały się po prawie pustej butelce. – Jakość?

- Czas razem budować przyszłość. Czwartą Międzynarodówkę. Tak by nam powiedział wizjoner Lenin.

Umysł ambasadora Cabota zatrzymał się nad Międzynarodówką jak objuczony muł nad przepaścią. Przyszedłem mu w sukurs:

- *International Fourth* – przetłumaczyłem bostończykowi prosto do ucha.

- A Trocki? – wypalił Cabot, dając dowód, że na kursach historii w Georgetown University przykładał się do nauki. – Myślałem, że czwarta już była. Czy to nie Trocki powołał do życia czwartą?

- Zdradził, *swolocz!*

- Zdradził – zawtórował mu nostalgicznie towarzysz Wiesław.

- Trzecią zbudował Lenin – przypomniał Aristow. Westchnął. – Na trzeciej, niestety, świat się zatrzymał.

Na jego znak Draczenko dobył z przepastnej kieszeni marynarki nową butelkę „Stolicznej”.

- Za czwartą – odpowiedział szeptem.

- Wypijmy za czwartą – zaproponował Aristow.

Wypiliśmy.

Cabot otrząsnął się, jakby wyszedł spod ryzny. Spojrzał na mnie wzrokiem rozgrywającego, któremu odebrano piłkę.

- *What the hell is it all about?*

Wzruszyłem ramionami.

- Rosyjska dusza – bąknąłem po angielsku. Pilnowałem się, by nie wdepnąć w strużkę alkoholu, która rosła przy moich nogach z każdym toastem.

- Trzeba... – Aristow spojrzał pytająco na swego sekretarza prasowego.

- Trzeba przeciąć tę pępowinę.
- Pępowinę? – powtórzył bezradnie Cabot.
- Skostniały układ – Gomułka pospieszył z pomocą.
- No, podziały – dopowiedział Aristow.

Draczenko:

- Idą nowe czasy.

Aristow wyjaśnił, ocierając rękawem marynarki zwilżone alkoholem usta:

- Razem, towarzysze, wykuwać przyszłość. Razem.

Premier zabębnił palcami po stole. Towarzysz Wiesław zamarł z kieliszkiem przy ustach.

- Razem – wydukał – chociaż, naturalnie, niezależnie.

Twardo to zabrzmiało. Towa powiedział, co powiedział i z miną kaskadera jął spoconą dłonią luzować wiązanie krawata. Bruce z niepokojem obserwował palce premiera wędrujące po stole.

Wąskie wargi Aristowa rozciągnęły się w uśmiechu.

- Oj, Wiesław, Wiesław! My Słowianie, wy Słowianie. Toż my waszej niezależności jak swojej pilnujemy!

- Obcym nie oddamy – zapewnił Draczenko.

- Nie oddamy. Wypijmy.

Wypiliśmy. Widzę, że Cabot za moim przykładem tylko moczy wargi, dyskretnie zrasza alkoholem podłogę.

- Czyli co? – rzuca pytanie jak kartę na stół. Skrycie mruga do mnie okiem.

Bostończyk z dziada pradziada.

- Takie czasy nastały. Pora grać razem – Aristow na to. – Jak to mówią: dla pokoju światowego.

- A konkretnie?

- No, boisko jest duże. Wy na swojej połowie, my na swojej.

- Aha.

Łebski facet. Znam masę dobrych Amerykanów pokroju Cabota. Całym sercem kochają amerykański futbol, baseball, colę i orzeszki. Dobrze wiedzą, że nic tak nie odwraca uwagi od polityki jak piłka na boisku.

- No to zagrajmy.

Aristow i jego pomagier nie tego się spodziewali. Łypią na Cabota. Metaforycznie mówi czy aluzyjnie?

- A w co? – odważa się wreszcie Aristow.

- W futbol.
 - Nasz?
 - Nasz. Amerykański.
- Awieriusza Aristow odsapnął.
- Ot, żartowniś.
 - Reguły u was skomplikowane. Diabeł się nie rozezna – dorzuca od siebie Draczenko.
 - A sprzęt? Stadion? – włączam się retorycznie.
 - Prawda – wzdycha Cabot. – Stadionu nie ma.
- Pierwszy sekretarz ożywił się.
- Za to w dupnika można grać od ręki.
 - Dupnik, towarzysze – Cyrano na to z uśmiechem – to zabawa nie kolektywna.

Proponuję w dwa ognie.

- *Nielzja* – Draczenko szepnął Aristowowowi.
- A, gry wojenne... – Aristow zrobił kwaśną minę. – Nam jakoś nie wypada...

Cyrano:

- My zbijamy waszych, wy zbijacie naszych. Czysta dżentelmeńska rozrywka.
- Gra edukacyjna! To co innego.
- Czym zbijamy? – pyta przytomnie Cabot.

- Piłką.

- Piłka jest? – docieka Aristow.

- Ja na chwileczkę – mruczy Towa i bieży truchcikiem do drzwi. Wyszedł na korytarz, wrócił, a po jakichś trzech minutach przychodzi Garota ze szkolnym globusem pod pachą.

- Nada się?

Oczy Aristowa z podejrzliwością zawodowca omiotły kontury kontynentów i wyblakłe kolory wypełniających je państw.

- Nada – zdecydował.

- Pęknie! – przestrzegłem.

- Nie tak szybko – uspokoił mnie premier. – Rzemieślnicza robota, nie taśmowa.

- No – ucieszył się Towa – to jazda na dół.

- Za zwycięstwo – zarządził Aristow.

Wypiliśmy. Zjechawszy windą na parter, gromadą wytoczyliśmy się na wewnętrzny dziedziniec. Tam dołączyli do nas Garota, Halloween i Bezkostny. Z polecenia Towy zapalono wszystkie lampy na dziedzińcu. Cyrano przystępnie wyjaśniał reguły gry, a ja, gapiąc się na kwadrat rozgwieżdżonego nieba nad głową, oczami wyobraźni zobaczyłem

świętego Chucka, jak pod płachtą „Los Angeles Timesa” śpi na plaży w Santa Monica, by nie przegapić chwili, kiedy Jezus wynurzy się z oceanu.

Po krótkiej naradzie jednogłośnie postanowiliśmy oddać inicjatywę dyplomacji: jedną drużynę poprowadzi ambasador Cabot, drugą – ambasador Aristow. Halloween i Bezkoszny będą liczyć punkty.

- No to co? Dobieramy – ponaglił Cyrano.

Cabot dobierał pierwszy. Patriota o konserwatywnych poglądach – wybrał mnie. Aristow miał chętkę na żylaste, wysportowane ciało Bruce’a. Ostatecznie poszedł po linii narodowo-partyjnej:

- Draczenko, *sjuda*.

Cabot złowił Bruce’a. Ekscelencja Aristow przywołał do siebie Gomułkę; jakby nie było, pierwszy sekretarz. Zostali premier i Garota. Kogo weźmie mój bostończyk? – myślałem nie bez obaw. Odetchnąłem: prawem starszeństwa wskazał na premiera. Teraz wiadomo, że Garota vel Samojed zasili drużynę radziecką. Ściągnęliśmy marynarki, złożyliśmy je pod murem. Draczenko się wyłamał; zapiął marynarkę na wszystkie guziki i nosa zadziera. Wzmocniłem się wrigleyówką. Aristow spocony. Wiatru jak na lekarstwo. Draczenko fałszywie pogwizdywał. Na niebie wisiał księżyc wchodzący w trzecią kwadrę. Towa dopalił papierosa, przedmuchał lufkę. Zaległa cisza. Nad nami unosił się duch sportowej rywalizacji, w żyłach żywiej krążyła krew z domieszką radzieckiego alkoholu. Czekaliśmy na rzut Aristowa. Świat jakby zatrzymał się w miejscu. Po drugiej stronie murów toczyło się życie. Przejechał tramwaj i zastukały ciężkie, źle podkute buty. To robotnicy produkujących zakładów stolicy udawali się na nocną zmianę.

Aristow zamachnął się i rzucił. Mierzył w Bruce’a, nie trafił. Zanim globus dotarł do rąk Cabota, odbił się o kamienne płyty. Wytrzymał – solidna robota, produkt sektora prywatnego.

Cabot odchylił do tyłu swoją długą sylwetkę, nabrał powietrza i cisnął globusem jak Satchel Paige piłką za swych najlepszych lat.

- Boli! – wrzasnął Gomółka.

- *Sorry!* – odkrzyknął Cabot. – To tylko gra.

- Schodzimy z boiska, towarzyszu pierwszy sekretarzu – przypomniał Halloween-Pipkow.

- Raz się nie liczy – oponował Towa, masując lewe ramię.

- Trafiony, zatopiony – powiedziałem.

- *Watch out!* – usłyszeliśmy wrzask Cabota. Za późno. Aristow babskim rzutem upolował Bruce’a.

- *Fucking game!* – warknął Bruce. Chłopak nie lubi przegrywać.

- To było za Alaskę! – skwitował Aristow.

- Okej. – Cabot zamachnął się. – A to za Gary’ego Powersa. – Mierzył w Draczenkę, trafił Garotę.

- Powers? – spytał mnie szeptem Cyrano.

- Pilot amerykańskiego U-2 zestrzelony przez Ruskich.

Zdażyłem się uchylić. Cyrano był wolniejszy. Globus skasował go północnym biegunem.

Aristow szczyrzy nierówne zęby i cedzi:

- Poprawka za Zatokę Świń!

Zostałem ja i Draczenko. Globus śmigał w powietrzu, Kuba, Berlin Zachodni, Wietnam i narody Trzeciego Świata ścierały się ze sobą. Nawet laik by pojął, że sytuacja międzynarodowa z rzutu na rzut komplikuje się. Splunąłem w dłoń i przechwyciłem rzut Aristowa. Teraz szybki półobrót i kontynentalne Chiny rozbiły się na czole Draczenki.

- Za Kerouaca!

- Nieregulaminowy rzut! Tak nie wolno! – chlapał Draczenko, masując załazek guza.

- Wolno – zripostowałem. – Towarzyszu Pipkow?

- Przepisy pozwalają – przyznał Halloween.

- *Good job*, Pipkow – pochwaliłem.

- Czyli wygraliśmy. – Premier starannie otrzepał marynarkę, zanim ją założył.

- No, ładna – wycedził Aristow, półbutem dobijając naruszony globus. – A ten, jak mu tam, Keruak – to wasz szpieg czy nasz?